

MARIAN PANKOWSKI

SMAGŁA
SWOBODA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1955

SMAGŁA SWOBODA

MARIAN PANKOWSKI

S M A G Ł A
S W O B O D A

BIBLIOTEKA „KULTURY”
Tom XI

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie « LIBELLA »,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (IV^e)

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI

1955

TEGOŻ AUTORA

Pieśni Pompejańskie; Bruksela, 1946.

Wiersze Alpejskie; Bruksela, 1947.

Podpłomyki; Bruksela, 1951.

Couleur de jeune mélèze; La Maison du Poète,
Bruxelles, 1951.

Poignée du Présent; Caractères, Paris, 1954.

M a t c e p o ś w i ę c a m

TRAKTAT PIERWSZY

O WYKRADANIU OWOCÓW

„I uczynił pan Bóg Jadamowi i jego żenie suknie kożuchowe, a oblókł je w nie i rzekł: oto Jadam stał się jest jakoby z nas jeden, wiedząc dobre i złe...”

Historia barzo cudna o stworzeniu nieba i ziemi 1551

Kto chce wykładać owoce musi wpierw osiąść dwie rzeczy: stronę rodzinną i dzieciństwo. Potem dopiero będzie mógł pomyśleć o prawidłach sztuki, surowych i wymagających niezliczonych studiów z dziedziny ogrodnictwa i psychologii. Pierwsi teoretycy dawali się uwieść pozorom (na przykład chrupkości papierówek) i adept zamiast formuł i porad znajdował teksty, będące raczej dokumentem ich upodobania hedonistycznych, aniżeli uczoną summą sztuki wykradania smakowitych fruktów.

W narodzie naszym wiele jest do odrobienia, wiele wiekowych uprzedzeń należałoby rozprószyć; to też nie dziwota, iż większość pozycji z których korzystam, w niniejszym traktacie, pochodzi z literatury obcej, przede wszystkim prowansalskiej i włoskiej. Akta

Sądu Grodzkiego w Sanoku wspominają jedynie o zwykłych złodziejach owoców, pustoszących sady bez jakiegokolwiek względu na strój i zdrowie drzewa, po to, aby rankiem sprzedać pokątnej powidlarni parę worów posiniaczonego owocu.

Do pracy mej, pierwszej u nas, wiele zaczerpnąłem z tradycji. Wałą pomocą było mi własne doświadczenie, jak również wspomnienia głośnych w Sanockim sadowników. (*)

Oddaję tedy tę rozprawę moją w ręce Braci Polaków, aby drobiazg dziecięcy w sztukę ową inicjowali, a Boże broń, nie karcili. Bo nie tylko chlebem człowiek żyje, ale i pragnieniem. A pragnienie rzeczy wzbronionych góry przenosi.

CO TO JEST SAD?

Sad, u nas niedbale i ogrodem przezywany, jest to miejsce ogrodzone płotem, lub co gorzej murem. Płoty wyglądają różnie, ale do najczęściej spotykanych należą: drewniany i z drutu kolczastego. W obu wypadkach otwieranie wejścia jest igraszką. Deska pozwala się uchylać niezgorzej od kotary, a odgięte w dół i w górę druty wprost zapraszają deltoidalnym przełazem. Trudniejsza sprawa z murem, tym bardziej, gdy

(*) W tym miejscu wyrażam wdzięczność, niestety już tylko pamięci, Władysława Radwańskiego, którego sarmackie umiłowanie owocującego szczepu nauczyło mię przyginać gałęzie barczystych, podkarpackich jabłoni.

góra naszpikowana jest okrutnie tłuczonym szkłem. Do roku 1939-go używano w tym celu flaszek z piwa. (*)

Zdarzały się, choć raczej rzadko, sady otwarte na pola. Dojść tamtędy można było bez trudu, ale tylko przed żniwami. Nie trzeba bowiem tłumaczyć iż na gołym ściernisku i kuropatwie trudno przypaść do ziemi.

WNĘTRZE SADU

Są tam najsamprzód drzewa stare, co dwa lata trzeszczące od pyzatyh jabłek i adwentowofiołkowych węgerek. Jest tam wiśnia, ale blisko okien, by łatwiej było ploszyć rajcujące na owocu kawki. Po kolana w ziemniaczysku stoją grusze, jedna nosząca hojnie sypki, kanarkowo woskowany owoc, druga zaś, jak murarz zaprawą, tak ona ciska o ziemię klapsami.

Oprócz drzew roślących, znających obyczaj pór roku, sadownik ma jeszcze inne. Wiosną zatknął w grunt dwie, trzy chude i sękaty tyczki, z których (choć z małym opóźnieniem) rozkręcają się duże, duże liście, a potem wywija się kilka bladomalinowych kwiatów. Szczepy te są oczkiem w głowie sadownika, i jeśli fawor słonecznych niebios pozwoli dojrzeć pierwszej parze jabłek, drzewko, wspierane i hołubione, zna przywileje młodej matki, a owoce omija los pospolity. Pyszną się swym pierwszeństwem z brzegu dębowego kredensu i dopiero, gdy nadejdzie Boże Narodzenie,

(*) Na terenach powiatów leżących po obu stronach Sanu flaszki pochodziły z browarów: Żywiec, Okocim i Zarszyn.

smagła ręka ojca potoczy je po obrusie w stronę wrzuszonych dzieci.

Nie od rzeczy byłoby wspomnieć o agresji i porzeczkach, nie pomijając truskawek ni chrupkiej kalarepki, ale rozprawa nasza zbczyłaby z wytkniętej drogi i, zacząwszy pisać o wykradaniu owoców, skończylibyśmy na wodzie sodowej z malinowym sokiem, którą tak bardzo lubią Polacy w czas kanikuły.

KIEDY I W ILU WYCHODZIĆ PO OWOC?

Wergilego „Ibat ... tacitae per amica silentia lunae...”, jedna z rzadkich wzmianek o wyprawach po owoc, jakie nam przekazała poezja łacińska, zawiera wyczerpującą odpowiedź. Domyślamy się wprawdzie iż Wergilemu chodziło o złote granaty, popękane krwawo od nadmiaru lata; nie mniej w cytacie owym, jak w soczewce, zebrało się doświadczenie apenińskiego półostrowu. A więc nocą. Nocą, kiedy gacki dopadają ciężkich, wrzecionowatych ciem, zalanych do nieprzytomności wódką paloną z rezedy. Kiedy pszenica trzeszczy od suchości, a tam i sam kometą wybuchają kłosa.

Iść trzeba we dwóch, we trzech, nie gromadą. Ale nigdy samemu. Bo trzeba mieć kogoś ze sobą, aby ciemność otworzona przez idącego na czele nie zamykała się natychmiast, by nie waliła się na plecy choćem strachu. Nie masz piękniejszej gry. Gdzie drzwi zamykane, gdzie indziej okno gasnące. Cicho, i wystarczy wznieść rękę, aby móc w palcach rozetrzeć noc, jak aromatyczną gałąź jedliny.

Za przykład wezmę klasyczny zespół, złożony

z trzech. (*) Sprawę płotów poruszałem już był uprzednio, tu dodam tylko, iż zasadniczo jeden z miłośników nocnego owocu zatrzymuje się u wejścia uczynionego w ogrodzeniu. Piszę z a s a d n i c z o, gdyż, w miarę wzrastania bezpieczeństwa, i on może dołączyć do dwu braci pracujących wewnątrz. Jednakowoż z początku powinien czuwać u wnijsia, bacząc na przykład, aby kroki zasłyszane na mostku nie przybliżyły się zbyt i, aby w razie ukazania się księżycy miał kto odgwizdać odwrot.

PROFIL PSYCHICZNO-MORALNY PRZEDSIĘWZIĘCIA

Sama praca daje radości nieprzeliczone. Postaram się nazwać je pokolei, doszliśmy bowiem do miejsca, gdzie każde niemal słowo streszcza jakiś ważki fragment opisywanego doświadczenia. Pierwszą więc rozkoszą jest n i e p o k ó j. Obawa, że coś się stanie. Że dom zabłyśnie siedmioma oknami, jak w dzień ślubu Zosi, a płot najeży się nagle drutem kolczastym. Że w chwili, gdy nogi miłośnika owocu odepchną ziemię, wstępując po schodach wielbłądzio przychylny jabłoni, podbiegnie ON, sadownik — i że nie pozostanie wówczas nic innego, jak tylko wstępować, wciąż wyżej i wyżej...

Nie zapominajmy o tym, że wyprawa dotychczasowa odbywała się w p o z i o m i e. Obecnie spełnia się część druga, prostopadła: w s t ę p o w a n i e. Bose

(*) Już Pitagorejczyk Architas mówił: „Szczęśliwa to liczba”.

stopy odnajdują (podkreślam o d n a j d u j ą, a nie spotykają) zakłasy wyrastających z pnia konarów. Miłośnik owocu rozbudowuje swój niepokój i opóźnia gest rwania. Pod altaną letniej nocy, wspartej z jednej strony na mieście, a z drugiej na ciemnym grzbiecie lasu, raduje się trwożnie na myśl o przebytej wysokości, i coraz świadomiej przygotowuje rękę do gestu, o którym wiedział od początku. Mija ostatni pułap listowia, aż naraz zdźbło ciepła dotknęło go wesoło w policzek. Lewą ręką przytwierdza ciało do masztu, a prawą krąży nad przepaścią, tropiąc owo źródło, skąd pulsuje łagoda. Bez trudu spotyka owoc dostojnie nagi.

Słońce było już zaszło za Morze Czerwone, ale szczytowe jabłka przechowują gorąc jego promieni. Ręka, otrząsnąwszy się z czulego zamyślenia, określa kształt owoców, zapisuje wzajemne odległości planet i kąty nachylenia. Po czym, ująwszy jedną z nich, przekręca powoli wokół osi ów dziecinny świeatek, chcąc jakby poprawić położenie tej wdzięcznej konstelacji. I tak po trzykroć, religijnie.

Tu kończę opis jednej z rozkoszy : niepokoju. Od chwili zawładnięcia owocem krzywa natchnienia opada gwałtownie. Zstępując z jabłoni, miłośnik niesie za pazuchą już tylko jabłka. Pomarszczone konarki, będące przedłużeniem ogonków, rysują opaloną skórę chłopięcą. W miejsce niepokoju przychodzi d u m a, duma, jaką znają myśliwi wracający od błot, mając pas ustrojony po szlachecku pawiookimi guzami cyranek. Uczucie dumy nie ukazuje się jednakowoż w postaci czystej. Początkowy niepokój znajduje teraz kompensatę w niepoważnej zadzierzystości i chęci ryzyka. Powrót na ziemię jest aroganckim i hałaśliwym zeskokiem, pozbawionym wszelkiej, ale to wszelkiej podszewki metafizycznej. Piszę o tym, bo chciałbym, aby uwagi me wpłynęły na coraz nowe pokolenia chłopców dudniących na bosaka po naszej urodziwej, polskiej ziemi.

Brnie tedy młodzik na przełaj, choć przedtem cieszyły go ścieże gładko udeptanej gliny; miądzdy kruche, odchyłone sennie liście kapusty i żałuje, że sadownik nie widzi jego triumfu. Chce, aby uczynek był natychmiast rozgłoszony, żeby i n n i określili jego wartość i wyjątkowość. Próżność owa jest niestety jedną z rozkoszy. Bolesnie przychodzi nam pisać o tym; chcemy jednak aby traktat niniejszy zawierał całą prawdę. Może znajdą się tacy między uczniami naszej sztuki, którzy potrafią godnie zakończyć wyprawę po owoc? Życzymy im tego całym sercem. Niech będą mężniejsi od nas...

Pomimo to posiadacz szczytowego owocu jest idealistą. Nawet pragnienie sławy, będące żądzą, trawiącą jak nałóg pijacki, czy gra w karty do rana, pozostaje w sferze myśli, nie przynosząc żadnej korzyści materialnej, z grubsza rzecz biorąc.

Oto zespół trzyosobowy, który wziętem za przykład do powyższych rozważań, zasiadł na poręczy mostku. Nogi zwieszono w stronę brzęku potoku. Owoce krążą z rąk do rąk, ważone na dłoni i wachane na umór. Szepty, czasem prześmiechy dziecińskie — i wreszcie, jeden po drugim, chrzęsty szarpanych wilczymi zębami owoców. Nikt nie dojada jabłka. Nasycenie nastąpiło już przedtem i było innej natury. Kilka ukąszeń jest raczej jeszcze jednym więcej gwałtem uczynionym na owocu. Jest zwierzęcym, jest ludzkim znakiem posiadania. Tyle relacji.

Uczniu, czytając tę rozprawę, przemyśl każdy jej ustęp; prześledź jej geometrię i aspekt astronomiczny. Przemierz odległość dzielącą pierwszy dreszcz pragnienia od gestu spełniającego. Całe człowieczeństwo leży obozem pomiędzy tymi godzinami.

APPENDIX

W odpowiedzi na list otwarty miłośników siemienia konopnego, pestek dyni i ziarek słonecznika.

Wielki mię zaszczyt spotkał i, po cóż ukrywać, niespodzianka, bowiem fragment powyższego traktatu, ogłoszony w jednej z gazet parafialnych, obudził silne rezonanse wśród młodych czytelników; również listów kilkoro przyniesiono mi z rana. Dla czytelników mych tedy, z autorską myślą o nich, wierząc, że zechcą liczną subskrypcją pracy mej walnie dopomóc, piszę co następuje.

O WYKRADANIU SŁONECZNIKA

Lingwistyka świata całego składa hołdy tej dziwnej, ponad inne wyniosłej roślinie. *Helianthemum, Coronasolis*, oto królewski rodowód, któremu godny i strojny pokrój słonecznika odpowiada jak najwierniej. Podobno kiedyś, w pogańskich procesjach, w porze mocowania się dnia z nocą, biało odziane dziewczęta niosły nad głowami krągłe plastry słoneczników, jeszcze huczące od pszczoł i trzmieli. Tak uczczone słońce hojnym sypało promieniem, nie tak jak dzisiaj. Kościół zastąpił tę uroczystość procesją Bożego Ciała, a boskie rośliny świecami...

Ale zostawmy historię, chociaż, przeglądając rękopiśmienne kroniki, niejedno można odkryć, nad niejednym podumać...

Sama roślina zaczątek ma skromny, szaroburobiały. Graniaste ziarno sadzą ludzie dla dzieci i ptaków. To też dwa bezradne i pękate liścienie wstają do światła na wąskim zagoniku, najczęściej przy płocie. Rosnąc, starają się nie zawadzać pulchnej gosposi, krzątającej się wokół pełchatej marchwi, bądź też skubiącej młodziutki koperek na zakryszkę.

Młode słoneczniki mają w sobie coś z podlotków. Długie to i szorstkie. Ale przyjazne oko zauważy bez trudu węzeł kwiatowy, zapowiadający kolistą polanę, z której raz po raz będą startować kosmate helikoptery, unoszące nektar w stronę przetwórnicy.

Lato w życiu naszej rośliny to jedno wielkie rozmrużanie coraz bardziej olśnionego słońcem oka. Sikora bogatka siądzie czasem na brzegu słonecznikowego koloru i — jak gdyby nigdy nic — dziobnie raz jeden i drugi. Ogrodnik, lustrując z rana wypoczęte grzędy, przeżegna tarczę, wykuszając kwiaty przybrzeżne. Widać wtedy szary bruk pokrywających się we wszystkich kierunkach, jak abrakadabra, ziaren.

Tymczasem liście spłowiwały. Ostatnie ogórki uratowano do wielkich akwariów. Pozostał słonecznik. Samotność pochylonej dojrzałą jesienią rośliny może wzruszać miłośników przyrody, ale jeśli chodzi o nasz punkt widzenia, powiemy sobie krótko: oto moment.

Pora? Jak przy owocach. Ilość uczestników? Bez znaczenia. Ale to nie wszystko. Nie wystarczy bowiem podejść do słonecznikowego drzewa, trzeba znać sposób. Sposób zaś jest prosty jak pacierz. Wbij dwa palce, kciuk i wskazujący, w pulchny, watowany kołnierz rośliny. Oderwij tarczę. I ani spojrzysz na tykę sterzącą bez sensu; za to biegnij, biegnij ile sił, z ogromnym kołem pod pachą, jakby gdzieś przyjaciele pośród mroku siedzący zorzy wypatrywali daremnie.

Słonecznik to najdoskonalsza z figur płaskich. Należy go dzielić na czworo. W naszych czasach stał się opiumicznym prawie przysmakiem gimnazjalistek czytających Prousta i cennym posiłkiem dla nerwów kibicujących amatorów futbolu.

Ale w miernocie dnia wielkowiejskiego, na miły Bóg, nie zapominajmy o jego boskim, z ołtarzów Inków, rodowodzie.

Słonecznik, „Soleil cou coupé”.

TRAKTAT WTÓRY

O ROZPALANIU OGNI,
POWIĘKSZONY RÓWNIEŻ APPENDYKSEM

Bywa, że idąc przez łąkę, stojącą tłustym ziołem, potracisz nogą o niewidocznego zawalidrogę. Jeżeli krok twój nieśpieszny jest (a takim być powinien) rozchylišz łodygi cieniste, aby zobaczyć rzecz oną, która cię zatrzymała. Może nawet przyklekniesz i, odwaliwszy kamień, spostrzeżesz pierzchające mimo pan-cerzy swych żuki, rosówki oślepione dniem, a może mrowisko, gdzie owad gospodarny przenosi z miejsca na miejsce tajemnicze, białe zepeliny.

Jednym słowem, jeśli wyciągniemy przed nawias kolorowe szczegóły, otrzymamy w wyniku prostą myśl, którą lud nasz ujął lapidarnie słowami: od rzemyczka do koniczka. Tak też było z niniejszym studium o sztuce rozpalania ognia. Przeczytawszy wiele dzieł traktujących o jego naturze, a przede wszystkim gruntowne dzieło Bachelarda i niemniej śmiałą broszurę Markizy De Chastelet, zwróciłem się i tym razem w stronę własnej praktyki.

Moi średniowieczni poprzednicy badali wysokie prawa ognia i w złotą definicję zatrzasnąc próbowali jego bachancką naturę. Najdrobniejszy blask-błysk poddawali żmudnym badaniom. Jednak dopiero wiek XVIII-y potrafił wnikać głębiej w istotę rubinowego żywiołu; doświadczenia zaś wspomnianej już Markizy są tego najwłaśniejszym dowodem. Już przed nią poważni ucze-

ni dowiedli iż światło miesięczne, nawet zgarnięte w szkłe powiększającym, nie pali — ale śmiała Markiza uczyniła krok następny. „Własnoręcznie zanurzyłam”, pisze w swoim dziele (*), „garść robaczków świętojańskich w bardzo zimnej wodzie, co jednak nie zgasiło i nie oziębilo ich ognia”. Doświadczenia owe, niewątpliwie ciekawe, nie wyjaśniły jednak w zupełności palących problemów, chociaż by z tej przyczyny, że świętojanki (w zgodzie z Buffonem) uznaliśmy nie za owady, lecz za czerwcowe stadium pomiędzy szmaragdowym wirusem paproci i żywym ogniem.

OGIEŃ ŁĄCZY ZIEMIĘ Z NIEBEM

Gdyby nie ogień nie moglibyśmy żadną miarą porozumieć się z niebem. Dodajmy uczciwie, że to niebo pokazało nam ów sposób ognisty w chwili, gdy śmigły Cherub w gorący kolor przemienił suchą topolę, ku radości zmarzniętych na kość Pierwszych Rodziców. Od tego czasu sfery niebieskie nabrzmiały są kuliście od nieustannych ogni naszych. I może tym da się wytłumaczyć ono dziwne rozszerzanie się kosmicznej budowli, upodobnionej przez nas do błękitnego w złote pasy Montgolfiera. Tak więc człowiek podtrzymuje firmament ogniami ustawicznymi. One to są również fizycznym skrzydłem sterujących w stronę ogrójca dusz.

(*) Dissertation sur la nature et la propagation du feu. Paris, 1744.

OGIEŃ W MĄDRYCH RĘKU PRACUJE

Widzieliśmy w tutejszym muzeum królewskim szkła antyczne, greckie i chaldejskie. Podziwialiśmy kunsztowność onych naczyń i łagodność tamtego ognia. On, co tylko rwie, obala i pustoszy — w ręku rozważnych śćklarzów precudnych flasz i flakoników naczyń.

Dzisiaj majstrowie czescy słyną z działania onych przezroczystych fikuśności. Cienkie to, a kruche, że strach brać w palce. Mróz, nie kryształ!

JEST WSZĘDZIE

Zadziwia ognia wszechobecność. Dzięki cytowanym już dziełom wiemy, że znajdziesz go we wszystkich rzeczach, bądź mało, bądź dużo. Zawierają go: złoto i ocet, włosy i marmur, także woda i róg jelenia. Przed drugą wojną światową ośmioletni Tadeusz B. przysięgał iż ma słońce na komodzie. Ojciec był je zamknął w chwili, gdy poranne zatrzymało się w lustrze. Zdajemy sobie sprawę, że znikome przygotowanie naukowe, jakim dysponowaliśmy wówczas, osłabia częściowo wartość przytoczonego świadectwa.

Pamiętamy za to dobrze inny wypadek. Było już po pierwszych przymrozkach. W ulicę, pełną kramów z dyndającymi parami juchtowych butów, wbiegł chłopiec z jarzącym się pod wiatr, coraz czerwieńszym liściem dzikiego wina. MIASTO BYŁO DREWNIANE.

Ale dorośli nie lękali się jakoś pożaru. Za to my rzuciliśmy się na szaleńca i, utopiwszy w potoku ów liść, zapobiegliśmy nieszczęściu. To jeden przykład.

Wiem również, iż bukiety żółtego mleczu, trzymane w obu rękach, dawały prawo do jazdy w późny wieczór i do trąbienia.

Jedząc świeże kajzerki, smakując ciemną pieczeń wołową, przetykaną słoninką, czy też gryząc trzeszczące placki kartoflane, j e m y o g i e ń. Spożywamy znak jego mistycznego obcowania z pszenicą, ziemniakami i mięsem.

Ten ostatni ogień zwie się domowy. Aby był dobry, radzę palić polanami bukowymi. Najtaniej kupisz, biorąc całą sągę. Tylko tego drzewa, jak je porznieś i połupiesz, nie kładź zaraz w piec. Niech się przesuszy, kędy w miejscu przestronnym, gdzie wiatr a słońce, najlepiej pod ścianą. Jak ci trzeba, wyjdiesz z kuchni i naręczko łatwo przyniesiesz — a i nocą usłyszysz, jeśli by złodziej chciał polan dostawać. Po między polana owe nawtykaj drew z gruszy, bądź z jabłoni, co je mróz pomorzył — a będzieć wokół domu pachniało.

Dwie recepty, które podaje, mogą posłużyć wszystkim, ale specjalnie harcerzom, miłośnikom sportu kajakowego, także i młodożęńcom. Pomogą im nawiązać do najstarszych tradycji człowieka, prawie zapomnianych w wieku kaloryferów i mazutu.

Studentów ignistyki (osobiście wolałbym a g n i s t y k i), chcących się zapoznać z ciekawym dokumentem, odsyłam do appendyksu, na końcu niniejszego traktatu.

OGIEŃ NA POLU PRZY ZIEMNIAKÓW KOPANIU

To ognisko najlepiej udaje się pod wieczór. Są i tacy, co i za dnia próbują, ale to nie ogień, bo go nie wiadać. Chyba, że mokrego dorzucą, wtenczas dymi. Ale to też nie ogień. Wybierz tedy wieczór chłodny, ale suchy i tak postępuj. Skocz pod znajome okno, i zagwizdaj. Potem we dwójkę pobiegnijcie pod jeszcze jedno okno, i zagwizdajcie. Bo, jak już gdzie indziej pisałem, we trzech najlepiej te rzeczy podejmować. Teraz tylko wybrać pole. Dobrze jest takie, skąd już ziemniak zwieziono, że tylko badylanka została. Dobrze też gdy właściciel daleko mieszka. Póki jeszcze widno, obleć inne zagony. To się przyda.

Zacząć od tańcowania w miejscu, gdzie ma stanąć ogień. Bić piętami, aż pulchna ziemia zabłyśnie jak klepisko. Ale nie siadać. Znieść, ile tylko można, badylanki i obłożyć nią ono miejsce. Teraz wszystką czułość skierować na garstkę suchych liści, lub przychwycony w jesiennym locie świstek starej gazety. Mówić szeptem i unikać gwałtownych ruchów, żeby się t o udało. Kłaść delikatnie badył po badyłu, unikając, jak wody, bylicy, która strasznie syczy i jak żaba pluje. Podpal to. Macie wszyscy klęczeć i zasłaniać od wiatru, nawet gdyby bardzo słaby wiał. Dopiero jak płomień tryśnie po przez dym, dokładać, ale baczyć pilnie, by ręka lekko kładła paliwo, inaczej zmienić rękę. Można już mówić głośno. Teraz dopiero jest ogień. Niemniej sprawdź, czy idzie w górę, tak bowiem określiła jego najpierwszy charakter Akademia florencka, w czasach gdy ojcowie nasi nauki tam pobierali. Ma iść w górę ochotnie, parszkając by kasztan kiedy obrok czuje.

NA NIC RADY

W tym miejscu, choćbym ci radził różne rzeczy, wiem, że czynić będziesz jedną, to jest tańcowanie, krzyki i swawolne skakanie przez ogień. Skacz tedy, pokrzykuj, bo bez tego nie masz prawdziwego palenia, i pamiętaj, żeś winien ogniowi daninę z brwi i rzęs osmalonych. Zdarzy się, że przybliżą się dziewczęta. Nie dopuść ich za blisko. Mają stać razem, trzymając się wespół i patrzeć. Dorzuć wtenczas badyłanki, a gdy buchnie, dalejże skakać, wywlekając za każdym susem zdrowy dym i wypłaszając z ogniska trzaskające bażanty iskier.

Potem porwij jaki grubszy badył z czerwonym końcem, a przyskocz do dziewcząt. Piskania strachliwego będzie co niemiara. Ale matki im długo tam być nie dadzą.

Teraz jest czas pieczenia ziemniaków. Skoczno na pole, gdzie ich jeszcze nie wykopali. Przypadnij do bruzdy i zapuść rękę pod kopiec. Pomacaj co większe i do kieszeni. Jest-li bób, albo fasola gdzie na podorędziu, szarpnij trochę. Da się dobrze upiec. Rozkop tedy żar, policz i włóż ziemniaki. A niech wszyscy znają liczbę. Taki już zwyczaj. Teraz można opowiadać. Najlepiej o tym jak się dzieci rodzą; ale można też patrzeć za ogniem, jak się wspina po nocy, jak próbuje zapalić mrok i jak z powrotem opada.

Siedzieć trzeba kołem, zawsze twarzą do ognia. Ziemniaki jeść razem z czarną skórką, parzące, i za nic w świecie nie obcierać osmolonych ust. Nie trzeba żeby starsi przychodzili, bo zaraz każą śpiewać „Góralu czy ci nie żal” i inne smutne pieśni. Ogień gasić zfiemią, a nie i n a c z e j, bo to grzech.

NAD WODĄ OGIEN JAKO ROZPALIĆ

Kto taki ogień chce rozniecić, niechaj wpierw rzuci w rzekę kilka wędek, okrasivszy haczyk smakowitą przynętą: trześnię na jelce, glistę na kośnice, brzany i węgorze. A o ciężarku z ołowiu pamiętać. Teraz ręce opłucz i, chodząc po kamienistym brzegu, to patrz na prąd jak ucieka, to zbieraj spławisko; a to są kawałki drzewa i gałęzie przywiezione powodzią i wymyte ciągłym tarciem o kamień i piasek. Masz-li czas, przyglądaj się tedy ich okrągłości, wódź palcem po białych liczkach kamieni, które choć niczemu nie służą, mają w sobie wiele długo szukanego, powściągliwego piękna. Potem płaski kamień znajdź, zmyj cicho wodą, tak abyś ryby nie zraził, i połóż go równo, ale nie dalej niż o krok od krzaków łożyny (muszą być dwa). Wyszukaj jeszcze dwie płytki kamienne, też umyj i postaw daszkiem nad ową, co już leży. Teraz co najcieńszych, suchych gałązeczek naskub a połóż pod ten daszek. Łatwo znajdziesz i papieru kawałek. Zaświeć siarniczkę (ale niech drugi bluzką osłoni) a będziesz mieć płomień. Drugi niech teraz podsyca ognisko, a ty skocz na brzeg i wyciągaj pokolei wędkę. Jak ma być deszcz, ryba dobrze bierze i łatwo o brzanekę. Kiełbkiem też nie gardź, ale wypatrosz, posól i na żywej gałązce w szparze kamiennego daszka zawieś. Uwędzi się wybornie. A węgorz, to dopiero ucztą. Na taki ogień deszcz nic nie może, tylko na płytach bąblami się poparzy. Ty zaś powiąż czuby krzów gęstych, a na piachu ciepłym pod takim szałasem siądź.

Kapuśniaczek zasuje świat cały siwym chłodem, a was nawet nie znajdzie. Są kiełbie, co jak uwędzisz, to tłuszcz po palcach kapie. Można też Żydkom sprzedać, najlepiej we czwartek, lub w piątek rano.

APPENDIX

Dokument ten autor uwadze czytelników poleca, jako iż jest to pierwsze, autentyczne świadectwo, dotyczące świętojańskiego ognia. Zasłużony badacz jeden ignistyki, który pierwszy do ludu za nauką chodził, ono opowiadanie uczestnika sobótkowej nocy wiernie spisał.

„Ja pastuch Jašku, wyganiający od trzech lat konie na te łąke, co za olszyną, jeszcze nigdy nie widział ognia świętojańskiego. Wczora my nie spali, a jak u Franciszkanów za wodą (za Sanem, to jest w Sanoku, przypisek autora) wybiła dwunasta, skoczyli my do lasu. Ciemno było, że oko wykol. Jedlina chlastała po gębie, a paproci było po pachy. Rwali my i rwali, a nuż gdzie kwiat się najdzie, ale nic. Rwiemy i rwiemy, a tu nad głowami: bzzzzz..... Pczoły, abo muchy, myślę sobie. A to chmara chrobaczków świętojańskich, tylko fiuuuu-u! — przeleciała nam nad głowami. Gęsto leciały, a było ich z tysiąc. Dobrze, że my głowy schylili, bo by się czapki zajęły. Już my chcieli słowo przemówić, a tu oni wracają. Fiuuu-u!, i tak pięć razy. Wyśli my potem z chaszczy, kapoty od rosy ciężkie, i do ognia wrócili. Było nas siedmiu, trzech wsiowych i czterech dworskich.”

TRAKTAT TRZECI

O SZTUCE LATANIA

Rzecz tę, bardziej niż którąkolwiek inszą, dla najmłodszych przyjaciół przeznaczam. Wierzę, że będzie im pomocą w dniu, kiedy niska, zioly mnogimi pokryta ziemia nużyć ich zacznie; w dniu, kiedy rzucawszy podeszczową kałużę i piasek nadrzeczny, zobaczą DRZEWA I PTAKI.

O LOTACH ROZMAITYCH

Lotów masz co niemiera. Jeden jest chyży i furkotu pełen, jak u kuropatw, gdy je z bruzdy wypłoszysz; inszy u szczygłów, wolny — to wysoki, to niski — jakbyś sznur na bieliznę na licznych tyczkach luźno zawiesił. O takim locie niderlandzki ptasznik jeden pisze: „Są ptaki, co falistą warstwę powietrza pośród innych znaleźć umieją. A to nie łatwa rzecz”.

Ale ze wszystkich najcudniejszy, wierz mi, jest orłów a jastrzębi napowietrzny żywot. Tegom w dzieciństwie próbował, niemałego szczęścia przy tym zaznając. Popróbuj tedy i ty, najmłodszy mój czytelniku, onego niebieskiego, między ziemią a firmamentem bytowania. Bacz zaś na to, iż czas twój krótki jest, pomiędzy papierową łódką a pierwszą miłością. Potem już ziemi nie odejdiesz...

NAJLEPSZY CZAS LATANIA

Tutaj wszyscy luminarze ornitologii, tudzież znawcy powietrznego szybowania, zgodni są na jotę. Jedną bowiem porę przeznaczyła ku temu Natura, a to jest jesień. Wtenczas, a nie kiedy indziej podnoszą się w długie loty: gęś żelazistego a białego pióra i słonka lekliwa, lecące do ciepłych krajów. Wtenczas sama Natura zachęca nas do lotu, rozwieszając w suchym a rześkim powietrzu długie, siwe nici, będące niczym innym jeno pierwszą molekułą rzeczy latającej. Chłopkowie nasi zwą one łaskotliwe przedziwa „babim latem”, co jest prostym wymysłem. Też liście farby starożłota, lecące na wiatrach, wskazują na oną porę latania. Ale najrozumniej działają: siemię dmuchawca i owoc klonu. Dają się wiatrom po niebie prowadzić, tak długo, dopokąd nie upatrzą jakiej gleby życzliwej; wtenczas opuszczają się wirem, jakby na brzegu niebios leżąca prządka w białych palcach skręcała pionową oś ich lotu. Z nich tedy bierzmy przykład.

ALE PRZESTROGA

Najsamprzód powiem ci jedno. Winien jesteś uczciwość żywiołowi powietrza. Żadnych podstępów nie używaj, ani chytrości żadnych. Był bowiem jeden, co przechytrył i do morza wpadł. To dawno. Ale pamiętam drugiego, co z ogromnym latawcem na ścierńsko wyszedł, wypłoszył go pod chmury, a sam za

sznur ciągnąc, ową machinę to ku ziemi wiodł, to znów pozorną wolność jej dawał; a dręczył ją nieustannie owym sznurem konopnym. Aż go porwało i poniosło za San i za lasy siwe. Byli przy tym: kołodziej Filipczak i jeden co w sądzie pisał — ale możesz mi bez ich świadectwa zawierzyć.

LOT

Wyjdź tedy na brzeg jaki, albo na pagórek stromy, ale kiedy największy wiatr. Stań na górze, weźmij w garście poły bluzki rozpiętej, i pozwól niech cię podmucha z doliny idący dwakroć, a najlepiej trzykroć uderzy. Wtenczas możesz kłaść się na wiatr. Utrzyma cię, nie bój się. Odbij się, a polecisz, poszybujesz ku dolinie, straciwszy oddech i pamięć. Dopiero na dole zatrzymasz się, radośnie zmęczony. Może nawet pióro ptasie znajdziesz we włosach, nic nie wiadomo. Starsi, jak zwykle, nie uwierzą. Będą różne insynuacje czynić. Przebacz im, bo są jakby kapłan zazdroszczący gołębom.

INNY LOT

Przypomnij sobie com już mówił o lotnym ziarnie klonu i morał z tego wydobądź. Zresztą powiem ci. Trzeba pomału opadać. Ten lot jest łagodny i tym się różni od pierwszego. Obierz sobie, ale nie sam, jakie

drzewo w ogrodzie stojące. Ma być pod nim miękka ziemia, najlepiej grzęda z sałatą, albo ogórkami. Bo wtedy pulchna jak puch. Spluń w dłonie, i dalej na drzewo! Kiedy już wstąpisz na gałąź, popróbuj nogą czy mocna, trochę ją rozhuśtaj — a jak poczujesz, żeś na szczycie huśtu, oprzyj się na przepaści. Nawet rąk w bok nie rozczapierzaj, bo i po co? A jak już będziesz do ziemi się zbliżać, pamiętaj, abyś na palce lądował, a kolana przy tym ugiął. I zaraz do drzewa pędź, bo ten lot jest jak u dorosłych wiśniaku picie — jeden ma iść za drugim — inaczej nie zasmakujesz przestrzeni.

O wysokości gałęzi nie piszę. Nie masz bowiem liczby ni miary na śmiałość twoją. A kolega wierny niech z tobą lata, bo o zwichnienie kostki nie trudno. Wtedy pomoc się przygodzi. Dodam, iż możesz zamiast drzewa dach jakiej szopy wziąć, też dobre. Jak wiatr, to dłużej lecisz.

KIEDY I JAK BUDOWAĆ GNIAZDO?

Skoro już lotów popróbujesz i w ćwiczeniu onym dobrze się zaprawisz, radzę, zamieszkać na drzewie. Bo latanie ku temu służyło, abyś za ziemią tęsknić przestał, a owo chwiejne zawieszenie w nicości polubił.

Są lipy połową gałęzi zwieszane nad wodą. Tam upatrz konarów rozwidlenie, tam łoży gibkiej kolicie nanieś, a sianem wymościć nie zapomnij. I zamieszkać. A gdy nadejdzie koniec czerwca, lub początek lipca, usłyszysz wielki szum. Otwórz drzewo, bo to są pszczoły i wszelka gawiedz błonkoskrzydła przybyła na miodobranie. Mruczenie syte będzie nad tobą i wokół cie-

bie, a jak głos matki zawoła cię na obiad — nie poznają syna. Tyle bowiem złocistej perchy, tyle gitar i mandolin niewidocznych przyniesiesz na sobie, nie chcący a szczęśliwy.

Korzyść też mieć możesz. Do torby parcianej naszkub lipowego kwiatu; przyda się na czas zimowy. Weźmie matka suchy bukiecik a wrzątkiem zaparzy i łyżkę miodu scukrzatego do wywaru wpuści. Za nic ci wtenczas mroźna krupa siekająca w szyby, za nic wiatru pod dachem gwizdanie. Tyś pan. Jen o sikorach w on czas nie zapominaj. Siemienia konopnego zatop w łoju a na żerdce po fasoli zawieś. Będą się ptaszęta wieszać, a jako błazenkowie główkami wiercić, to tu to tam. A ogień z buczyny niech w izbie trzaska.

INNA POWIETRZNA DROGA

Wyszukaj górę natknioną drzewami śmigłymi. Wybierz tam drzew kilkanaście, których korony drżącym srebrem zachodzą jedna na drugą. Mówię ci, nie masz radośniejszej swawoli, jak z drzewa na drzewo przelatywać. Jen o pamiętaj, abyś w czasie lotu na boki oczami nie strzelał. Niech sobie żońna czerwoną głową migają, niech tam po ziemi kica królik dziki — nie zważaj na to. Oddychaj głęboko, ale bez pośpiechu. I jen o to dbaj, abyś kierunku nie zmylił, a do gałęzi upatrzonej dotarł. Tak możesz latać, gdy sucho. Po deszczu, kora elementem obcym dotknięta, nie tak już życzliwa twoim rękoma. Gdyby nie głód mógłbyś na ziemię nie wracać.

PYTANIE I ODPOWIEDŹ

A czyż nie lepiej skrzydła jakie uczynić, szerokie a mocne, i na nich na wiatry wyjechać?

Przenigdy! To, proszę cię, drugim pozostaw — tym, co dumy i wiary młodzieńczej nie mają. Tym, co stronią od burz czerwcowych, malowanych bławatem błyskawic, tym, co w czas ulewy nago nie biegali, biorąc na barki snop deszczówki pachnącej metalami.

Krótki jest czas, powtarzam, w którym lotów próbować możesz, ale za to rozległe powietrza na grzbiet cię biorą i noszą nad murawy szumiącymi. Jeno tak, wierzaj mi, nauczysz się wielkości pragnąć.

A skoro zima osmuszy twe drzewa z liścia sutego, skoro śniegi zasują stoki, nad którymi przelatywałeś, pora, abyś powrócił do domu. Czekają na cię książki przyjazne. One to powiedzą ci jak drążyć groty, pachnące korzeniami drzew i zimną miką, jak oswajać najdziksze trzmielce; w nich też przeczytasz, jak mieszać najdoskonalej siarkę, saletrę i węgiel.

A kiedyś, w któreś jutro, młodej braci przekażesz onę wysoką sztukę latania. Tako i ja czynię, i tak po mnie czynić będą. Póki dzieci i drzew na tym świecie.

TRAKTAT CZWARTY

O S M A G Ł E J S W O B O D Z I E

JAKO JĄ SPOTKAĆ MOŻNA

Sprawać to trudna i nie masz w tym żadnej reguły; notować jeno trzeba, że miesiące: maj, czerwiec i lipiec są ku temu najdogodniejsze. Choć nie brak ludzi, którzy twierdzą, że prędzej w jesieni, przy wrzosie, napotkać ją możesz, oną smagłą swobodę.

Powiem ci, czytelniku, rzecz jedną, niczego nie skrywając. Jak i gdzie indziej, tak i tutaj, cierpliwość a ufność wszystko mogą. A i o łagodności pamiętaj. Wybierz tedy dobry miesiąc maj. Wyjdź pod wieczór, kiedy chłopięta zbrojne w łożinowe palmy czekają pierwszego nalotu chrabąszczy. Wyjdź na drogi jak najbardziej rozstajne i patrz pod zachód, a oczu nie przyślaniaj. Po dłuższej chwili, ręczę ci, dojrzysz wozy, dojdzie cię dzwoneków brzęk i psów ujadanie. A gdy nadjadą, rzuć im „Szczęść Boże!” A majowi, za dobry traf podziękuj.

O P R A C A C H I C H

Wiele umieją. Kamień tłuc, kotły kować, na drumli przygrywać i niedźwiedzie rozumne wodzić. Wiedzą też jak leciwym koniom przywrócić młodość minioną

i spod siwej karą sierść wydobyć. Są między nimi złotary, co nad karpackimi potokami wisząc, nic jeno piach sitami czeszą a czeszą, rozstawiwszy uprzednio straże, aby oko profana nie podpatrzyło miejsca i sposobu. Potem samorodny, złoty śrut, zaszyty w wąskich z koźlej skóry woreczkach, sprzedają na Hungary i dalej, aż do Stambułu.

Ale najczęściej wśród nich napotkasz czarowników. Uczenie uprawiają wróżbę. Niedowiarstwo dzisiejszego człeka jest bezprzykładne, tym więcej należy więc podziwiać wysiłek ich, nie rzadko uwieńczony trafnym rezultatem. Autorowi niniejszego traktatu miło jest wyznać, iż od wczesnego dzieciństwa stosuje się pilnie do wróżby pewnej starej, wysokiej cyganki, którą matka poczęstowała talerzem aromatycznej zupy grzybowej. Przepowiednia ta przylega bowiem tak ściśle do historii dni i lat, że odstąpić od niej na krok równałoby się nieszczęściu.

RÓŻNE RÓŻNOŚCI O NICH

Zadziwiają rozlicznymi przymiotami, mężowie sprytem i szlachecką imaginacją, a niewiasty elokwencją i perswazją niezrównaną. Nigdyś w życiu nie widział, czytelniku, tylu złotych zębów na raz. Ani tylu fartuchów jasnojelenich i purpurowych, w pośrodku których, głęboko, głęboko, mieszka smoliste ciało Cyganki.

Albo to. Siedzi sobie ciemna ich młodzianka i warokcze splata, ale raz po raz smugę dymu znad ognia uszczknie i między włosy wplecie. Mówią, że którego chłopca taką kosą po twarzy smagnie, to amen; już z niego niewolnik, służka śniadej pani, a nie mężczyzna.

ICH NATURA

Dziwną jest. Może to i prawda, że dawnymi czasy kraj induski na wozach przemierzali, a potem skądś od *Mare Nostrum* ku nam, na zimny *Septentrion* przywędrowali.

Od dziada pradziada drób jest ich przednim pożywieniem. Łowcy z nich zagorzali, ale cóż, u ludzkości osiadłej zrozumienia nie znajdują. Nękani prawem, ustanowionym przez ludzi *glebae adscripti*, coraz rzadziej polują na terenach wsi. Nic też dziwnego, że jedynym zwierzem, na którego wyprawiają się zbrojnie, gromadą lub w pojedynkę, jest jeź. Oblepiony gliną daje się piec w popiele. Czekają, aż skorupa sama od gorącości rozpęknie, a wtenczas łatwo wyjmują z niej różowiutką, kształtu ogromnej pisanki wielkocnej pieczeń.

O MOWIE ICH NIEZWYKŁEJ

Ale już ze wszystkich dziwności najniezwyklesza jest ich mowa. Naskarbili sobie różnych słów, jeszcze za czasu onej induskiej ojczyzny — i dziś musiałbyś Litwina o pomoc prosić, takie to korzeniste, splątane a szumiące.

Cierpliwie pracował nad ich lingwą Ficowski nasz Jerzy, słynny cyganolog i wielokrotny doktor *honoris causa* a klanów Kelderari i Lowari. I dziś, dzięki niemu, najmroczniejszy pargamin czytelnym się stał.

Z jego też ksiąg uczonych biorę formułę zaklęcia, abyś, czytelniku, zadrżał, powtarzając ze mną:

„...Syr me som bango — nek man deweł mareł, pchagireł, szućkireł; te chacioła do momeli pre mro grobo. Te jaweł cudo kie trin dywes, kie trin óchona, kie trin bersz”.

Co się wykłada: „...Jeśli jestem kłamcą — niech mnie Bóg bije, łamie, suszy; niech pali się ta świeca na moim grobie. Niech nastąpi cud w trzy dni, w trzy miesiące, w trzy lata”.

„Nek man deweł mareł, pchagireł, szućkireł”. Strach bierze i ciarki idą po plecach — tyle w tych słowach szatanów chlustających smołą.

AUTOR TRAKTATU WIDZIAŁ ICH ŚWIĘTĄ GÓRĘ W MIEŚCIE CO JE ZOWĄ GRANADA

Miasto, choć w nim teraz Hiszpan panuje, co krzyże w miejsce półksiężyców poutwierdza, jest perłą Arabistanu. Z Alhambry zbiega woda po marmurach łabędzich, a w ogrodach Kalifów iskrzący się wodotrysk opada wolno, godzina po godzinie. Tu jeno podróżny czoło podnosi, a oczami wodzi. Ale życia tu nie masz.

Życie jest na S a c r o M o n t e. Też góra nad miastem, a w niej do wschodu słońca mieszkają ludzie, niby brzegówki nadrażywszy grot. To są Gitanos, po naszymu Cyganie. Kobiety ich i córki tańczą, jakby wąż święty na ziemię zstąpił. W tej górce jest macica skąd taniec jurny i rytm okrutny biorą swój winem zbryzgany początek. Ale to nie nasi Cyganie, po polsku nie rozumieją.

ZAMKNIE NIE TRAKTATU

Dawno to było, tak dawno, że jeno dzieci pamiętają tamte lata, albowiem postradały wówczas rodziców swoich. Dorośli już zapomnieli.

Zbrojni ludzie-nie-ludzie rzekli wtenczas, że zaczną nowe tysiąclecie, a tylko nowej krwi naczynili wokół siebie i pogorzeli nowej. Oni to zatrzymali tabory Cyganów, ograbiwszy je z dobytku wszelkiego, ze złota, srebra i mirry. Potem ich na pole pomoru wpędzili, gdzie pod strażą umierać musiał naród cygański. Tych co nie upadli, a stali prosto, siłą obalano i palono ich ciała w piecach ogromnych.

Ale tego nie pamiętają już dorośli. Jeno dzieci pamiętają tamte lata, bowiem postradały wówczas rodziców swoich.

Ci, co uszli cało, powrócili na drogi, po których od stuleci toczą się ich wozy, abyśmy mogli wierzyć, że nie umarła ona smagła swoboda.

I to miej na pamięci, abyś dzieciom, kiedy ich czas majowy nadejdzie, rozstajne drogi wskazał.

DE ARTE POETICA

TRAKTAT PIĄTY
I OSTATNI

Pomiędzy najprzedniejszymi dobrodziejstwami, które od Natury mieć możesz, obok zapachu odwilży i pogody w dniu rozdania świadectw — poezja, mówię ci, jest ze wszystkich najmilejsza. Zawierz jej, a poprowadzi cię przez życie po matczynemu, tym bardziej jeśliś Polak.

Sto mil od brzegu żywot wiodąc, z jej kart usłyszysz hojne drzewo, co szumnym chłodem ojcowiznę twą małoś.

Czytajcie tedy pilnie rozprawę niniejszą, przede wszystkim wy, rodziciele, bo *a r s p o e t i c a* jest *a r s v i t a e*, a wam Natura nauczanie pierwszej lekcji poruczyła.

WAŻNE CZĘŚCI WYŻEJ NAZWANEJ SZTUKI

Wiedz jednakowoż o tym, iż praca ta niepospolitej wymaga uczoności, a i frasunku przy tym niemało. Wiele w niej części, ale z nocną i dzienną najpierw cię zapoznam.

O TEJ PIERWSZEJ

Noc jest gleba szczodra, z której wszystko co dzieńne mądrze się wywodzi. Posłuchaj tylko. Przed jutrznią do boru wyjdiesz, a twardych borowików zbierasz łatwo z pół kopy. Skąd one? Bo wczora ich tam nie było. Tego ci nikt nie powie.

Nocą najchętniej odlatuje ptastwo dzikie i spadać lubi pierwszy śnieg. Nie mówiąc już o miłowaniu. Ale o tym za wcześnie dzieciom nie opowiadaj, tyle, że noc temu bardzo rada.

Miej tedy baczenie, aby dziecię twe nie lękało się mroku, a przeciwnie, ciemność lubiło. Przyuczaj je do tego, poczynając od szarówki. Jest to godzina, kiedy wysoka i siwa kobieta lnianym gałgankiem przecierać zaczyna szkiełko naftowej lampy. Najpewniejszy to znak. O takiej porze każ dziecku, niech idzie do drugiej izby po pudełko z guzikami. Jak przyniesie, daj mu, niech się nimi bawi, a osobno rogowe, osobno perłowe na stole układa.

Latem, kiedy matiola olbrzymieje, dosięgając nieomal brwi, bierz je za rękę i w ogród prowadź. Tam pasikoników rzępolenie, jakby synek lutniarza po warsztacie biegał, a to tu, to tam, ojcowych instrumentów drobnym palcem dotykał. Zważ to również, abyś dziecięcych oczu ustawicznie przy dalekim firmamencie nie trzymał. Wskaż mu i tę noc najniższą, po której tuż nad głowami szybuje puchacz, bo z patrzenia onego wiele radości mieć będzie.

Jest też druga noc, gdy buty podkute chrupią gładką sannę. Niech wtenczas kolędnikom dziesięć groszy wyniesie, a jak ich niewielu to po buchcie gorącej. Kiedy mu już na dziesiąty rok będzie szło, pozwól, niech

z drugimi, w śnieg sypiący, gromadą kolędy śpiewać idzie — bo tylko wtedy, tylko wtedy, mówię ci, można uwierzyć, że Bóg się rodzi a moc truchleje.

Do snów mu się nie wtrącaj, i z rana o nic nie wy pytuj. Bo późne dzieciństwo i wczesna młodość, jak jaskier, z ciemnych grzędawisk nocy wychylają się złoty uśmiechem.

CZEŚĆ WTÓRA, TO JEST DZIENNA

Tutaj naucz go dnia, bo świętszy jest od pacierza. Ale niech nocy miłować nie przestaje; starczy mu dla obojga radości.

Kiedy to czynić? Najlepiej z rana, jak się przebudzi. Daj mu wtedy gruszkę pucułowatą, co upadła nocą, a przy pierwszym przymrozku szybkę lodu z kałuży wyjmij, a w rączki mu podaj. Rozkruszy mu się to po sowizdrzalsku na krocie lusterek, a wesoło topnieć i kapać będzie.

Można i królika maluchnego na chwilę od macierzy odłączyć i do rąk dziecięciu podać — ale to łatwe, gdy pod miastem, albo gdzie na wsi mieszkasz.

Zbudź tedy dziecię swe parę razy wedle rady mojej, a zobaczysz, polubi dzień i wszystko co w nim jest: żrebaka chrupiącego biały cukier, stare-jare jodły, a i nabożeństwa majowe, pełne gór i dolin zielonych, pogąńskie.

O PODRÓŻACH A WYPRAWACH DALEKICH

Wielu już autorów przede mną o ich ważności pisywało, wystawiając pożytki stąd płynące dla ciała i dla duszy. Tylko, że w dziełach tych jedynie o dorosłych podróżnikach mowa, a stan dzieciński, najbardziej ze wszystkich przedsiębiorczy i wędrowny, całkowicie pominięty został.

Chce tedy autor niniejszych traktatów zapoczątkować ogromną kronikę wędrówek i pielgrzymowania drobiazgu dziecięcego, który po stanie szlacheckim czupurność a narodową fantazję przejął i obiedwie chlubnie kulturuje.

A ty, miłościwy piastunie, najmłodszym adeptom dzieła moje czytaj, aby z myślą o nich w krzepki sen wstępowali.

WYPRAWA PO OWOC BORÓW NASZYCH

Trzeba dużej rzeki. I żeby pienistymi zakrętami góry podmywała. Inaczej szedłbyś do boru ubogo i bez przygód. A droga ma być najeżona niebezpiecznościami i trwóg czyhających pełna. Dlatego też dobrać sobie musisz dzielnych kompanionów.

Zalecam ci czas babiego lata, a to dla wielu przyczyn. P r i m o, wód najmniej po dnie rzeki w on czas ciecze, bo wszystkie mądra Natura jakby w komorze zawarła, aby gdy przyjdzie listopad, przepadzistymi dżdżami skąpać zapieczoną ziemię. S e c u n d o, w boru, co miało dojrzeć, już dojrzało. Dąb zrzuca

zoładź płową, buk bukiew rumianą, a od żrałego liścia lwio i aż lamparcio.

Wyjdźcie tedy w sześciu, a żeby dobry przywódca był, taki co ścieżki zna i pociemku. O woreczkach parcianych, bliźniaczych, jednym sznurkiem zaciąganych, pamiętaj. Tam, przylipkę chleba weźmiesz, nazad zaś bukwi a ziarek jałowcowych przyniesiesz.

Dobrze jest wyjść po obiedzie. Iść prosto na las, aż wam rzeka zawalidrogą na ścieżce się położy i pochód animuszu pełen zatrzyma. Niech wtenczas przywódca wasz płaski kamyk po rzece ciśnie, a w ten sposób przeprawy kierunek wyznaczy. Potem, buty zzuwszy, niech w bród wejdzie, i kijem jakim bez ustanku przed sobą o dno uderza — a wy za nim. Prawą rękę daj w tył towarzyszowi, lewą zaś drugiemu, co przed tobą, bo samotnego nurt mógłby powalić. Bród brodem, ale woda już chłodna.

JAKIEGO BORU SZUKAĆ

Wybierz taki, gdzie wielka różnorodność drzew a krzewów. Niech dąbrowa na las bukowy zachodzi, też kalin i trześni dzikich niech tam nie zabraknie. Jak wejdiesz między drzewa, przeżegnaj się cichaczem, bo w gąszczu wszystko przydarzyć się może.

Jeden mleczarz znajomy po dziś dzień bliznę nosi, tak go srogi dzik pobódl, gdy po świętym Andrzeju do miasta z bańką szedł. Miej tedy na wszystko czujne baczenie, bo kto wie, czy kiedyś nie spiszesz jakiejś rozprawy na pożytek braci twych o asfalt parzących bose stopy słowieńskie.

To także miej na pamięci, abyś nóg od ziemi nie odrywał, a szumiał nimi, po sypkim listowiu brodząc —

bowiem nie masz miłszego znużenia. A kiedy kroku zwolnisz, aby odetchnąć, aby na ściółce leśnej lec, nie odróżnisz co ty, a co bór pustoszejący.

I jeszcze jedno ci powiem. Polubisz tę ziemię stygnącą ku zimie, i czas ów, kiedy się pora z porą listem płowym a śniegiem zaręcza. Tak jak młodzi pierścieniem, w którym szmaragd.

POŻYTEK JAKI

Są tacy, którzy zawsze o pożytek pytać będą. Dla nich gotową miej odpowiedź. Potrząśnij sakwami, w których bukiew i żołądź zachręści; a matuli warzącej wieszak, na blachę jałowcowych kulek sypnij. Napachnisz kuchnię całą jakby to nieszpór był u Franciszkanów.

A kiedyś, gdy w mieście dalekim przyjdzie ci w pamięć na larum uderzyć, wierzaj mi — stawi się wierne wszystkim bór. Oprzesz się oń, i tysiąc miast betonowych pędzących na ciebie powstrzymasz. Taka jest moc tamtej ziemi.

TRAKTATU NINIEJSZEGO I KSIĘGI ZAMKNIEŃ

A gdzież jest ona *a r s p o e t i c a*, której szczerliwie zgłębianie zalecałeś mi? — zapytasz, bracie mój młody.

W ksiąg tych pięciorgu daję ci wiedzy onej zarys,

zmudnie rok po roku zdobywanej, a dotychczas nie zdobytej. Po swojemu poczynaj. Inszy będzie bowiem świat narodzin i twego dzieciństwa. Jeno firmamentu mądre obroty i ziemi w coraz to innej wiośnie kąpiel po wsze czasy te same zostaną.

Łagodnym zamysłem pochylaj się nad rzeczą. Śledź jej żywot, od ziaren żwiru zaczynając, a na jodłach puszczańskich — co Karpatami z południa na północ kołyszą — kończąc.

Ufaj mi, tak czyniąc, doczekasz dnia, w którym zapragniesz mowy. Jedynej, bo twojej.

Weźmiesz tedy arkuś, a rozwinąwszy go na stole trześniowym, napiszesz u góry: *n a r c i a r z*. Potem powoli oną kartę ku sobie pochyl. Jarkim śniegiem w dół zaszumi, szronistym prądem cię obryzga, telemarkiem skibę wysoką wzniesie i pióro tve zadziwione zimą przywali, **ODDECHEM GÓRSKIM PULSUJĄCE SŁOWO**.

F I N I S.

